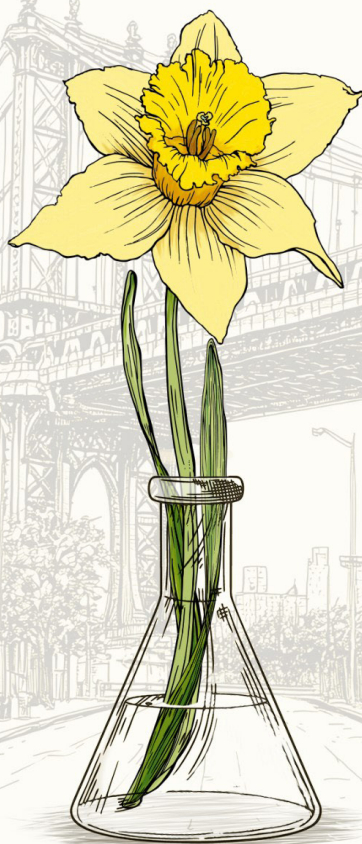


MAGDALENA PISARSKA

W moim małym świecie

MY WORLD #1



MAGDALENA PISARSKA

W moim małym świecie

MY WORLD #1

Copyright © for the text by Magdalena Pisarska
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Suchańska
Korekta: Aleksandra Krasieńska, Monika Baran, Magdalena Kłodowska
Skład i łamanie: Michał Swędrowski
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik SA

ISBN 978-83-8418-215-4 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
f Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](https://www.instagram.com/wydawnictwoniezwykle)
X [Wyd_NieZwykle](https://twitter.com/Wyd_NieZwykle)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.youtube.com/wydawnictwoniezwykle)

Dla tych, którzy żyją cicho, ale czują głośno.

*Dla moich rodziców, siostry oraz Kornela – dziękuję
za wsparcie i za to, że zawsze mogę na Was liczyć.*

I dla młodszej wersji mnie.

Jestem z Ciebie dumna.

Od autorki

Drogi Czytelniku,

trzymasz w rękach pierwszy tom mojej debiutanckiej serii „My World”.

Ze względu na tematykę poruszaną w kolejnych częściach całość jest przeznaczona dla osób pełnoletnich.

Na wstępie pragnę zaznaczyć, że wydarzenia opisane w książce stanowią wytwór mojej wyobraźni. Uniwersytet Lexington, podobnie jak większość miejsc i postaci, jest fikcyjny, choć inspirowany realnymi nowojorskimi uczelniami. Niektóre sytuacje zostały celowo przerysowane i wzbogacone o charakterystyczne elementy humorystyczne.

A teraz – uśmiechnij się i rozsiądź wygodnie.

Z ogromną radością pragnę Cię powitać *W moim małym świecie*.

Playlista

ŁZY, Adam Konkol – *Narcyz*

Britney Spears – *Toxic*

Crazy Music Channel – *Chicken Banana*

Hugh Grant, Haley Bennett – *Way Back into Love*

Dmitri Shostakovich, André Rieu – *The Second Waltz, Op. 99a*

Tribbs, Kubańczyk – *Ostatni raz zatańczysz ze mną*

Katy Perry – *Hot n Cold*

Natasha Bedingfield – *Unwritten*

Dawid Kwiatkowski – *Proste*

Kuban, Favst, Zalia – *kyoto*

PROLOG

Resztki dla kur

Koniec.

Na ten dzień czekałam całe swoje nastoletnie życie. Wreszcie zostawiam za plecami szkolne ławki, irytujące wąskie szafki ciągnące się wzdłuż zatłoczonych korytarzy i zasady, które na każdym kroku przypominały mi, że wciąż jestem dzieckiem. Mimo że od dobrych kilku lat wcale nim nie byłam.

Już od pierwszego dnia szkoły średniej ciężko pracowałam. Przez cztery długie lata prawie całkowicie zrezygnowałam z życia towarzyskiego, zarywalam noce na naukę, wyrabiałam normę ponad miarę, kosztem zdrowia i dobrego samopoczucia, a wszystko po to... żeby przegapić rekrutację na upragniony Harvard.

Upragniony przez ojca, który sam kiedyś się do niego dostał. Ja nigdy nie planowałam tam studiować.

Po raz ostatni zerkam na trzy koperty opatrzone pieczęcią uniwersytetów Stanford, Cambridge i Lexington. Najlepsi z najlepszych.

Zachodnie Wybrzeże rozważałam ze względu na dziadka, który od lat mieszka w Seattle, za to o Europie zaczęłam marzyć, gdy w wieku czternastu lat obejrzałam film *Wielkie nadzieje* i zakochałam się w krajobrazach Anglii i aktorze Ethanie Hawke'u. Kilka miesięcy temu poszperałam jednak głębiej i dowiedziałam się, że jest już po pięćdziesiątce, ma żonę oraz trójkę dzieci, a film niezgodnie z książką został nakręcony na Florydzie. Tym samym Cambridge spadł na sam dół mojego rankingu.

Stanford długo przodował w tym zestawieniu, lecz dziadek stanowczo odradzał mi wybór tej uczelni, ze względu na znaczną odległość, jaka będzie dzieliła mnie od domu rodzinnego. Nie rozumiał jednak, że to, co w jego oczach było wadą, dla mnie stanowiło ogromną zaletę.

Ostatecznie jednak wybór padł na Nowy Jork. Z dwóch prostych powodów. Nie chcę zostawiać mamy samej i nie będę musiała płacić czesnego.

Szkołę średnią skończyłam z nerwicą, ale też z najwyższym wynikiem z międzynarodowej olimpiady chemicznej w historii. Za pierwsze osiągnięcie dostałam leki na refluks, a za drugie stypendium naukowe właśnie na Lexington – prywatnym, najbardziej ekskluzywnym, najdroższym i najnowocześniejszym uniwersytecie na Wschodnim Wybrzeżu, który dzięki tym wszystkim zaletom co roku przyciąga absolwentów nowojorskiej śmietanki towarzysko-ekonomicznej.

W tym roku w ramach różnorodności dostanie też mnie.

– Spakowana? – Mama wchodzi do mojego pokoju.

– Już od wczoraj. – Uśmiecham się.

W pośpiechu wsuwam listy między stare książki owiane kurzem zapomnienia, po cichu licząc, że godnie dopilnują moich

tajemnic. Kopertę z pieczęcią Lexington kładę natomiast na blacie starego biurka.

– Lauren, źle mi z tym, że nie mogę odwiedzić cię na uczelnię. – Zerka na mnie, zmartwiona.

– Mamo, masz dyżur, a ja jestem dużą dziewczynką. Poza tym przez ostatnie lata sama dojeżdżałam do szkoły, która jest dosłownie trzy przecznice od uniwersytetu – przypominam.

– Wiem, ale dziś to co innego – upiera się. – Wyjeżdżasz i już cię nie zobaczę...

– Zamierzam wrócić pod koniec miesiąca, kiedy skończy mi się jedzenie – studzę jej emocje, dopychając do walizki ostatni słoik z marynowaną papryką.

– ...na wieczornej kolacji – kończy z uśmiechem. Potem podchodzi do mnie i dyskretnie wsuwa mi do kieszeni spodni kilka banknotów.

– Mamo, nie trzeba.

– Lauren, nie dyskutuj ze mną. To prezent, ode mnie i od taty. *Zwłaszcza od niego.*

– Dostałam już nowy komputer. – Zerkam na srebrnego MacBooka, który leży jeszcze zafoliowany w pudełku.

– Laptop jest ci potrzebny na zajęcia, nie zapłacisz nim za zakupy. No chyba że oddasz go do lombardu.

– O to akurat się nie martw, nie będę głodować. Od jutra przechodzę na freeganizm*.

– To znaczy? Nie będziesz jeść mięsa? – Patrzy na mnie, przerażona. – Masz jeść wołowinę! Z twoją anemią...

– Mamo – wchodzę jej w zdanie. – Będę jeść wszystko, spokojnie.

Wszystko, co akurat znajdę w kontenerze pobliskiego supermarketu.

* Freeganizm to postawa polegająca na ograniczaniu konsumpcji poprzez pozyskiwanie żywności i przedmiotów z odzysku, w przeciwieństwie do marnotrawstwa i nadprodukcji (przyp. aut.).

– A teraz wybaczyć, muszę lecieć na autobus. – Dopakowuję laptopa do plecaka wypchanego (już) po brzegi. – Po południu wpadnie Michel po resztę rzeczy. Przypilnuj proszę, żeby zabrał kwiatka, będzie mi potrzebny na botanikę.

– Skąd wiesz, że będzie ci potrzebny? – Unosi brwi.

– Czytałam na grupie mojego kierunku na Facebooku. – Spóźniona, zbiegam na dół i w panice szukam butów w szafce w przedpokoju.

W końcu znajduję moje wysłużone szare conversy.

– Dziecko, a gdzie reszta bagaży?

– To już wszystko.

– Jak ty się spakowałaś w tę jedną walizkę i plecak?

– Normalnie. Mówiłam, że ograniczam udział w konwencjonalnej ekonomii.

– Czyli?

Najprościej ujmując, będę biednym studentem.

– Czyli od jutra rozpoczynam antykonsumpcyjny styl życia w duchu freeganizmu – tłumaczę.

– Ale pakujesz się dziś. Więc w duchu *przydamisięństwa* i spokoju *matkonizmu* weź proszę jeszcze chleb bezglutenowy. – Podaje mi zamrożony bochenek.

– To plecak, nie lodówka – przypominam.

– Czapkę wzięłaś?

– Mamo, jest osiemdziesiąt sześć stopni*.

– To włóż czapkę z daszkiem. – Wsadza mi na głowę bejsbolówkę, po czym kładzie sobie dłoń na piersi i głęboko wzdycha.

– Dobrze się czujesz?

– Nie. Moje jedyne dziecko wyjeżdża samo na studia.

– Jak chcesz, to bierz torebkę i możemy jechać razem. – Uśmiecham się.

– Będę płakać.

* W Stanach Zjednoczonych temperaturę mierzy się w stopniach Fahrenheita, nie w stopniach Celsjusza, stosowanych m.in. w Europie (przyj. aut.).

– Spokojnie, to syndrom pustego gniazda. Niedługo powinno ci przejść. – Cmokam ją w policzek. – Muszę lecieć, bo zaraz się spóźnię. Kocham cię – rzucam, po czym wychodzę z domu i biegnę na przystanek.

W autobusie udaje mi się zająć ulubione miejsce na końcu przy oknie. Gdy tylko ruszamy, czuję dziwny skurcz w żołądku. Nie wiem, czy tak smakuje wolność, czy kolejne stadium nerwicy, ale zapewne dowiem się niebawem, gdy spędzę pierwszą noc poza domem.

Żeby choć na chwilę się zrelaksować, wkładam słuchawki do uszu, puszczam playlistę i przysmykam powieki. Nie mija jednak nawet pół piosenki, gdy telefon zaczyna wibrować.

Mama:

Lauren, sprawdziłam, ci freeganie jedzą śmieci

Mogłaś powiedzieć spakowałabym ci jeszcze worek z resztkami dla kur;)

Żartuję :* Jak ci zabraknie kasy, to pisz

I sprawdź przednią kieszeń plecaka

Wsuwam dłoń we wskazane przez mamę miejsce i napotykam pewien opór. Ostrożnie wydramiuję płaskie, długie pudełeczko, w środku znajduję piękny skórzany portfel, a w nim dwieście dolarów i karteczkę z napisem: „Powodzenia kochanie, jestem z ciebie dumna”.

Ten jeden raz zapomniała dopisać ojca.

Mam świadomość, że pieniądze, które mi dziś dała, są też od niej. Dociera do mnie, że doświadczam przeogromnego szczęścia, mając taką mamę. Nigdy nie szczędzi mi uwagi, zawsze stawia mnie na pierwszym miejscu, a nawet najbardziej męczący dzień kończy wizytą w moim pokoju i prostym „kocham cię”.

To tak niewiele, jednak są na świecie ludzie, którzy nigdy tego nie doświadczyli.

Od mamy i mojego pokoju na poddaszu szybko prześlizguję się myślami do dzisiejszego popołudnia. Czuję ekscytację w związku z nowym mieszkaniem, ale i swego rodzaju uwierającą niepewność, wynikającą z faktu, że nie mam pojęcia, z kim przyjdzie mi go dzielić.

Bo nie oszukujmy się, z byłem nikt nie chce mieszkać.

ROZDZIAŁ 1

Nagroda

Jeśli sierpniowy Nowy Jork jest piekłem, dzielnica DUMBO* to z pewnością jego dziewiąty krąg. Przemieszczanie się po zatłoczonych ulicach w godzinach szczytu przypomina mi, dlaczego przez ostatnie cztery lata dzień w dzień wołałam dojeżdżać do szkoły średniej z mojego spokojnego Allentown, niż zamieszkać u cioci i wujka na południu Brooklynu. A także, dlaczego przyjmuję omeprazol. Obiecałam sobie, że jeśli zdecyduję się na studia w tej części kraju, to albo zrobię wszystko, by zdobyć miejsce w akademiku przy uczelni, albo skończę na którymś z pensylwańskich uniwersytetów nieopodal domu.

* DUMBO (ang. Down Under the Manhattan Bridge Overpass) – dzielnica na Brooklynie w Nowym Jorku, położona między mostami Manhattańskim i Brooklińskim (przyp. aut.).

Wybrałam opcję pierwszą, więc od samego rana koczuję pod drzwiami biura zakwaterowania, licząc na szybkie i bezproblemowe przyznanie pokoju. Mam nadzieję, że jeśli zgłoszę się wcześniej, to może uda mi się dostać segment z moimi przyjaciółmi ze szkoły średniej.

Oczywiście chwilę później oschły ton pani z administracji szybko studzi mój entuzjazm.

– Nie ma przydzielonego do pani pokoju. Jeszcze raz. Nazwisko?

– Gordon.

– Lauren Gordon – rzuca w zamyśleniu. – Już mam. W związku z tym, że jesteś tu w ramach stypendium, pokój zostanie ci przyznany na innych warunkach, niż ma to miejsce w przypadku normalnych studentów.

Miło już na wstępie dowiedzieć się, że należą do grona nienormalnych.

Tak więc po przyjęciu policzka od losu zasiadam na jednej z obszernych drewnianych ławek przed wejściem do budynku głównego, który bezsprzecznie jest sercem kampusu Uniwersytetu Lexington. Oczywiście zaraz po kawiarni mieszczącej się w uczelnianym ogrodzie, gdzie serwują dzisiaj darmową kawę, mającą ułatwić nawiązywanie nowych kontaktów i poniekąd umilić czas oczekiwania na odbiór kluczy do pokoi. Nie do końca wiem, co teraz zrobić, bo skoro nie dostałam jeszcze zakwaterowania, to dokąd mam iść?

Przez moment przechodzi mi przez myśl, że może zabraknie dla mnie łóżka w akademiku i będę musiała szukać awaryjnego miejsca do spania, a zważywszy na mój okrojony budżet, który nie zakłada żadnych innych wydatków niż bilet na komunikację miejską i jedzenie na najbliższe kilka tygodni, postanawiam nie opuszczać ławki, bo w sumie to dobra opcja na ewentualny nocleg.

Podpinam rozładowany telefon do powerbanku, po czym rozglądam się dookoła, szukając znajomych twarzy. W tłumie

jednak znajduję wyłącznie wyobcowanie, które towarzyszy mi od urodzenia. W sumie nie dziwi mnie to aż tak bardzo. Ludzie studiujący tu pochodzą z zupełnie innego świata niż ja. Prywatny uniwersytet rządzi się swoimi prawami, tak jak studiująca na nim dość specyficzna grupa młodzieży.

Z rozmyślań wyrzywa mnie dźwięk powiadomienia. Szybko łapię za telefon i odczytuję powiadomienie w uczelnianej aplikacji.

*O godzinie dziesiątej zapraszamy stypendystów do auli numer dwa-
naście po odbiór kluczy.*

Chwytam za plecak i pędem ruszam do budynku głównego, bo zostało mi pięć minut na przedarcie się przez gąszcz ludzi oraz odnalezienie odpowiedniej sali.

Nie wiem, skąd te tłumy, bo zajęcia inauguracyjne dla pierwszorocznych mają zacząć się dopiero za dwa dni, jednak już od rana cały kampus tętni życiem. Pewnie ma to związek z cyklem imprez integracyjnych, nieformalnie zaplanowanych na najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Gdy wysiadam z windy na ostatnim piętrze, gdzie znajduje się aula, od razu namierzam tabliczkę z rozpisаныmi numerami sal i w pośpiechu ruszam długim korytarzem pokrytym elegancką posadzką. Nienawidzę tracić kontroli, a przede wszystkim się spóźnić, dlatego przyspieszam kroku i będąc już u celu, szybko pcham masywne drzwi, po czym z impetem wchodzę do środka.

– Nie ma co się spieszyć, jest pani w sam raz. Dzień dobry! – wita mnie wysoki mężczyzna ze szczerym uśmiechem na twarzy.

Spoglądam na niego nieprzytomnie, próbując unormować oddech, i ocieram kropelki zimnego potu z czoła. Oczywiście. Wejście typowo w moim stylu. *Pierwszy przypał odnotowany.* Mężczyzna cały czas się uśmiecha, dzięki czemu domyślałam się, że nie jest zły.

Ogarniam wzrokiem pustą aulę, w której poza mną i tym sympatycznym człowiekiem siedzi jeszcze szczupła, elegancko

ubrana i wyglądająca na mniej sympatyczną kobietą w średnim wieku. Zerka odruchowo na tarczę wielkiego zegara, a ja machinalnie wędruję wzrokiem za nią.

– Więc się spóźniłam. – Zrezygnowana odkładam plecak obok biurka.

– Ależ skądże. Kwadrans akademicki obowiązuje już od dziś, zatem nic się nie stało. Rektor* Edmund Brown.

– Lauren Gordon. Miło mi. – Odwzajemniam uśmiech, po czym przenoszę wzrok na kobietę.

– Violetta Larsen. Wicerektorka. – Zakłada nogę na nogę i odpuszcza sobie powitanie.

Mężczyzna w tym czasie wyjmuje masę papierów ze skórzaney teczki i ewidentnie szuka czegoś na jej dnie.

Nie wiem już, czy to faktycznie spotkanie dla stypendystów, czy może jakieś indywidualne podejście do antyspołecznych osób mojego pokroju. Zaczynam się też zastanawiać, czy ten wciąż dziwnie uśmiechający się człowiek jest najważniejszą osobą na uczelni. Przenoszę dyskretnie wzrok na portrety rektorów i zatrzymuję go na ostatnim z nich, wiszącym tuż za facetem. Po wstępnej analizie stwierdzam, że to on. Trochę brzydszy, ale jednak.

– Proszę spocząć – oznajmia spokojnie pan Edmund i siada na fotelu, wskazując mi krzesło naprzeciwko. – Zaczyna u nas pani naukę w ramach stypendium... – kontynuuje, wycierając masywne okulary chustką. – Osiągnęła pani imponujący wynik w rekrutacji, można rzec, że jest pani najlepsza, a najlepsi zostają...

– Raczej dostają – poprawia go kobieta.

W jej głosie wyraźnie da się wyczuć nutę irytacji.

– No tak, dostają. – Odchrząkuje. – Chodzi o nagrodę, swego rodzaju wyróżnienie, które od tego roku wprowadziliśmy dla

* W amerykańskim systemie edukacji wyższej odpowiednikiem polskiego rektora jest *president*. Jednak na potrzeby niniejszej książki system funkcjonowania uniwersytetu może się różnić od rzeczywistego (przyp. aut.).

najzdolniejszych studentów. Dostaje pani funkcję naczelniej starościny i apartament w jednym z naszych nowych akademików.

Co dostaje? Chyba się przesłyszałam.

– Proszę, tu są pani klucze. – Podaje mi przedmiot.

Patrzę jak głupia raz na jego rękę, raz na twarz. Upewniam się, że to nie sen, dopiero gdy mężczyzna potrząsa dłonią, dając mi delikatnie do zrozumienia, że mam się pośpieszyć.

– Drugi komplet ma już pani współlokator – dodaje pani Larsen.

– No właśnie! Chciałbym poruszyć pewien delikatny temat – zaczyna rektor, wyraźnie zmieszany tym, co chce „poruszyć”. – Tak się złożyło, że nasi obaj starości, to znaczy starościna – skinął na mnie – i starosta...

– Żadnego seksu, bo wypad – wchodzi mu w słowo druga kobieta, którą słyszę za plecami.

Odwracam się i przenoszę na nią wystraszone spojrzenie, bo już sam ton jej głosu podpowiada, że mam do czynienia z kimś, kto rzeczywiście rządzi na uczelni. Nowo przybyła patrzy na mnie uważnie, a potem wydaje z siebie jakiś dziwny dźwięk przypominający ciche warknięcie. Mimowolnie dyskretnie omiitam wzrokiem jej dopasowany uniform z napisem „ochrona” na lewej piersi.

Wygląd tej kobiety najpewniej odzwierciedla jej charakter i zapewne dość ostry temperament. Na pierwszy rzut oka stwierdzam, że jest w średnim wieku – na czubku jej kruczoczarnych włosów widnieją siwe pasemka. Wygląda trochę jak Cruella De Mon, tylko z równym odcieniem na głowie. Aczkolwiek najbardziej moją uwagę przykuwają jej barki. Jest praktycznie szersza niż dłuższa, a na jej masę składają się głównie napięte mięśnie i zapewne grube kości, które muszą utrzymać ich ciężar.

Teraz żałuję, że jednak nie zabrałam mamy.

Przenoszę wzrok na rektora, ponieważ jego widok nieco mnie uspokaja.

– Pani współlokator odebrał klucze kwadrans temu. Dostał stypendium za wybitne wyniki sportowe, więc pewnie dźwiga już swoje walizki – rzuca luźno pan Edmund.

O, sportowiec, jak miło...

– Przejdźmy zatem teraz do akademika, zobaczy pani apartament i omówimy wasze obowiązki. – Brown wskazuje drzwi.

Rozstajemy się z panią Larson na dziedzińcu, a następnie kierujemy kroki w stronę największego z budynków opatrzonego osobliwym napisem *Grand House*. Gdy wysiadamy z oszklonej windy na ostatnim, dwunastym piętrze, od razu ruszam za rektorem i siwiejącą kobietą. Potem czynię honory i za pomocą kluczy otwieram masywne, czarne, szklane drzwi.

Tego się nie spodziewałam.

Wielkie okna, wysoki sufit, kuchnia na antresoli, przestronny salon i taras z widokiem na Dolny Manhattan. Imponujący meble, zwłaszcza dla kogoś, kto zamieszka tu jedynie z plecakiem, walizką i kwiatkiem. No to resztę przestrzeni ma dla siebie mój współlokator. Oby mądrze ją wykorzystał i wstawił na przykład bieżnię.

– Kolega pewnie niedługo się zjawi, poczekamy na niego. Proszę się rozgościć. – Rektor zerka zachęcająco na pokój.

Odkładałam plecak na kanapę, a klucze na szklany stolik, stojący między dwoma fotelami. Potem przenoszę wzrok na pustą biblioteczkę, dość duży telewizor i przeszkoloną komodę, która równie dobrze może służyć za barek. Oczywiście moja chora wyobraźnia od razu generuje obraz przyszłego bogatego i zdemoralizowanego współlokatora alkoholika, rzygającego po kątach w noc przed moim pierwszym egzaminem z chemii. Gdzieś w tle widzę siebie z mopem, sprzątającą wymiociny z jasnej i zapewne drogiej kanapy.

Wzdrygam się z obrzydzenia, co nie uchodzi uwadze stojącego obok mnie rektora.

– Za zimno? Można przykręcić. – Podaje mi pilota.

No tak. Klimatyzacja. Muszę napisać do mamy, żeby wyjęła z walizki mój mały wentylator na USB, który niepotrzebnie leciał do mnie z Chin.

– Panie rektorze, z całym szacunkiem, ale gówniarz spóźnia się na spotkanie z władzami uczelni. Jedno słowo i przyprowadzę typa siłą – oferuje czarnowłosa kobieta.

– Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby, Rose.

Rose? Obstawiałam imię w stylu „Helga”.

Czuję na sobie ciężkie spojrzenie rozmówczyni, więc szybko przenoszę wzrok na kolejną komodę, za którą znajdują się drzwi do jednego z pokoi. Całkiem dużego.

Mam nadzieję, że mojego.

Kurczę, coraz bardziej mi się tu podoba. Mam tylko nadzieję, że trafi mi się ktoś normalny. W sumie, dlaczego z góry zakładam, że będzie alkoholikiem? No dobra. Studia to czas rozpusty, można się napić, ale może będę mieszkać z jakimś przystojnym Włochem, który przywiezie ze swojej ojczyzny dobre wino? Już wyobrażam sobie, jak sączymy je na tarasie wieczorami, gdy nagle czar pryska.

– Po co to przedstawienie? Przecież już odebrałem klucze – słyszę poirytowany oraz pełen pretensji znajomy głos.

I prawie dostaję wylewu.

Obawiałam się bydlą, a jest jeszcze gorzej...

– No to jesteście w komplecie. – Rektor odsuwa się lekko na bok i odsłania wysoką sylwetkę.

Od razu wyłapuję znajome jasne oczy.

– Ja pierdolę – parska chłopak, po czym rzuca torbę na fotel, który upada z hukiem na podłogę.

Dokładnie tak jak mój mały, poukładany świat, zaplanowany co do minuty na kolejne cztery lata.